№ 24. Warszawa, 12 Czerwca 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

Wobec kończącego się kwartału prosimy Szan. Prenumeratorów o nadsyłanie przedpłaty na kwartał III i II półrocze.

TREŚĆ NUMERU.

WYBORY W PRUSACH.

Sejm pruski uważany był dotąd za ostoję reakcji, dostatecznie zabezpieczoną od napływu żywiołów ludowych i demokratycznych, był to sejm junkrów i wielkich kapitalistów. Była to kuźnia wszystkich praw wstecznych, wymierzanych ku uciskaniu słabszych mniejszości narodowych i ku gnębieniu warstw uboższych. Sejm ten stanowił przeciwwagę na powszechnem prawie wyborczem opartego parlamentu Rzeszy. Wszelką krytykę haniebnej administracji pruskiej, klasowych wyroków sędziów pruskich, krytykę, jaką posłowie socjaldemokratyczni wytaczali w parlamencie, ministerjum uchylało oświadczeniem, że sprawy te należą tylko do sejmu pruskiego.

Panujący system trzyklasowy zdawał się najlepszym i wystarczającym środkiem, ażeby klasę pracującą pozbawić wszelkiego wpływu na najistotniejsze dla niej sprawy. System ten, jak wiadomo, oparty jest na szczególnem zastosowaniu cenzusu podatkowego. Suma podatków bezpośrednich, wpłacanych przez ogół wyborców danego okręgu, dzieli się na trzy równe części, poczynając od sum najwyższych, które wchodzą do pierwszej trzeciej części i t. d. Każdej z tych części odpowiada jedna klasa wyborców. Do pierwszej należą najwięcej płacący i oczywiście najmniej liczni, do drugiej wszyscy, którzy opłacają drugą część i t. d. W roku 1903 równą liczbę wyborców wybierało prawyborców:

238,845	. . . . . klasy	I
856,914	. . . . . „	II
6,006,204	. . . . . „	III

Na 10000 wyborców wypadało:

336	na I	klasę
1207	na II	klasę
8457	„ III	„

Ponieważ prawyborców I i II klasy łączyły zawsze wspólne interesy, to ich wyborcy zawsze przegłosowywali wyborców III klasy. Udział szerokich mas w wyborach uważano za bezcelowy, nie mający widoków powodzenia. Socjaldemokracja przez szereg lat udziału w wyborach wcale nie brała.

I oto stała się rzecz nieoczekiwana. Niedostępne dotąd podwoje pruskiego landtagu zdobył szturmem proletarjat niemiecki w d. 3 czerwca 1908 r. W sześćdziesiątym roku istnienia junkiersko-fabrykanckiego sejmu zasiądą w nim poraz pierwszy przedstawiciele proletarjatu. W izbie tej poraz pierwszy odezwie się krytyka opłakanych stosunków administracyjnych i policyjnych w Prusach, położenia niższych urzędników, szkoły ludowej, szykanowania robotników obcokrajowych, polityki eksterminacyjnej względem polaków.

Dotąd socjaldemokraci mają 6 mandatów zapewnionych i w 6 okręgach stają do wyborów ściślejszych. Wszystkie mandaty prócz jednego zdobyli kosztem postępowców t. j. nacjonalliberałów i wolnomyślnych. Okoliczność ta tłumaczy znaczenie wyborów: są one protestem przeciwko obecnej polityce Bülowa, opartej na bloku konserwatystów i postępowców, polityce, której najwydatniejszym owocem były ostatnie prawa o przymusowem wywłaszczeniu w Poznańskiem i ograniczeniu praw języka polskiego w zgromadzeniach publicznych.

Rezultat wyborów zadaje też kłam ostatecznie opinji o cofaniu się i upadku polityki robotniczej w Niemczech.

A.

NA WIDOWNI.

III Duma w opozycji. Wszyscy pamiętamy te burzliwe sceny, któremi kończyły się zwykle wystąpienia przedstawicieli ministerjum w I Dumie. Ujawnione wówczas zupełne niezrozumienie Dumy przez Rząd i Rządu przez Dumę, niezdolność wyszukania punktów stycznych tłomaczono nazbyt opozycyjnem usposobieniem Dumy. Ale obecnie miejsca I Dumy zajmuje III zwołana na mocy prawa z d. 16 czerwca, Duma mogąca być wzorem umiarkowania. A jednak to, co zaszło w Dumie w piątek d. 5 czerwca podczas rozpraw nad interpelacją z powodu nadużyć przy budowie krążownika „Ruryk", — ujawniło taką bezdeń wzajemnego niezrozumienia, że trudno jest myśleć (nawet ze stanowiska październikowców) o owocności wspólnej pracy. Odpowiadający na interpelację vice-minister marynarki miał do czynienia nie z opozycją, lecz z październikowcami i umiarkowaną prawicą, a mimo to odpowiedź jego wywołała formułę przejścia do porządku zaznaczającą niezadowolenie ze złożonych wyjaśnień i domagającą się śledztwa. Za formułą złożoną przez umiarkowaną prawicę, głosowało nietylko centrum, ale cała opozycja.

Prawica umiarkowana oskarżała ministerjum marynarki o wydanie zagranicznym Zakładom budowy okrętów ważnych tajemnic techniki wojskowej, a vice-minister marynarki nie zaprzeczając samemu faktowi, na usprawiedliwienie przytacza, że w zbiorze postanowień dotyczących marynarki jest artykuł karzący za wydawanie planów podczas wojny; dla czasu pokoju zaś artykuł kary nie przewiduje, a więc minister marynarki nie zrobił nic niezgodnego z prawem.

Oczywiście z pojedyńczego, a w dodatku tak jaskrawego faktu trudno robić wnioski co do opozycyjności Dumy, zaznaczyć jednak należy, że pod wpływem rozpraw piątkowych nawet z ław skrajnej prawicy rozlegały się głosy domagające się odpowiedzialności ministrów, tej odpowiedzialności, której bezskutecznie domagała się Duma I i II. Na następnych posiedzeniach Duma odrzuciła kredyty na budowę nowych pancerników w sumie przeszło 4 miljonów rubli.

Fiasco umowy zbiorowej. Jak już zaznaczaliśmy w „Społeczeństwie", w Baku przez 2 ostatnie miesiące odbywały się narady przedstawicieli pracy i kapitału nad sposobami przeprowadzenia w życie zasady umowy zbiorowej. Długie i mozolne narady doprowadziły do uchwały, że obie strony wybrać mają po 15 przedstawicieli do komisji, mającej opracowywać szczegóły umowy.

Pierwsze już jednak posiedzenie zostało zerwane. Przedstawiciele robotników opuścili salę obrad zrobiwszy oświadczenie następujące:

„Wobec tego, że związki zawodowe wszędzie i zawsze są naturalnemi przedstawicielami i kierownikami robotników; wobec tego, że związki miejscowe dokonały całej pracy przygotowawczej i dla tego nie mogą być usunięte w najważniejszej chwili i wreszcie wobec tego, że mamy dyrektywę określoną od wyborców, — nie możemy zgodzić się na usunięcie przedstawicieli związków zawodowych z komisji organizacyjnej i obstajemy przy tem, aby pozwolono im być obecnemi z prawem głosu doradczego; w przeciwnym razie opuszczamy salę obrad".

Przewodniczący obrad z ramienia namiestnika Kaukazu rz. r. st. Dżunkowskij zamknął posiedzenie, oświadczywszy robotnikom stanowczo, że żądanie ich jest niewykonalne.

A więc pierwsza próba umowy zbiorowej pracy z kapitałem poniosła fiasco. Formalnie chodziło o przedstawicieli związków zawodowych, faktycznie zaś o niedopuszczenie do udziału w naradach inteligencji, nadającej kierunek i barwę ruchowi robotniczemu.

Losy posła. Na posiedzeniu Dumy z d. 3 b. m. uchwalono usunąć czasowo z Dumy posła Kosorotowa, członka frakcji socjalno-demokratycz-

TRYUMF AR-IDONA.

Służący postawił na estradzie syfon wody sodowej i położył bukiecik fijołków.

— Kwiaty... — szepnęła na sali młoda filuterna blondynka.

— Ar-Idon nigdy inaczej nie odczytuje swych utworów... — odparła jej towarzyszka niemal surowo.— Musi co pewien czas wąchać fijołki... To go orzeźwia...

— Do sali zwolna zaczęli napływać słuchacze.

Poważna matrona z siwemi lokami koło uszu usadowiła się w pierwszym rzędzie. Obok niej — synowie, dwaj młodzieńcy o twarzach próżnych i tępych. Nieco dalej — młoda wspaniała kobieta matowo-biała, o grubych wargach. Ledwie siadła, otoczyli ją panowie...

— ...Że też ta Narska gdziekolwiek się zjawi, zaraz bywa obleżoną. Niczem M-me Recamier... Z tą różnicą, że M-me Recamier nie była lubieżna, a dość spojrzeć na wargi Narskiej, że to bachantka...

Wyszeptawszy te słowa chuda żółta niewiastka uśmiechnęła się piwniczo do towarzysza. Ten porównał ją w myśli z Narską i westchnął:

— Dziwna istota ta Narska. Jej wszystko wolno. Drwi sobie z moralności... rzuca się z jednej rozkoszy w drugą... A jednak w gruncie rzeczy nic jej zarzucić niepodobna... Hypnotyzuje ludzi... Innejby to nie uszło na sucho, co jej... Czemu?..

Mąż znowu westchnął.

— Silna wola... — rzekł. — Zapominamy o znaczeniu silnej woli w życiu...

Westchnął po raz trzeci.

— Jak ona brzydnie ta moja żona... — myślał w duchu, patrząc na nią z pod oka. — Co dzień, co godzina brzydsza i naiwniejsza w pytaniach... Brrr! Co to będzie! Co to będzie!

Nieco krótka, ale z bardzo pięknym, pulchnym karkiem, zakrytym ażurową wstawką, rudawa aktorka Sydonja położyła na kolanach białą, delikatną chusteczkę.

Bardzo lubiła płakać na przedstawieniach, odczytach, koncertach i deklamacjach. Miała zamiar zapłakać i tym razem. Oczy jej były wypukłe, a serce bardzo dobre. Pachniała wyśmienitemi wonnościami angielskiego wyrobu.

Zapatrzony w nią młody dramaturg Cedrowski, człowiek rokujący cudowne nadzieje, niedoświadczony, mówił:

— Ach, jak ona cudownie pachnie... Wonnościami wiecznej kobiecości...

I nachyliwszy się szepnął do znajomego uroczyście:

— Nazywam ją w myślach królową Saby...

Lewa strona, gdzie siadali zwolennicy Ar-Idona

nej. Decyzja zapadła na żądanie ministra sprawiedliwości.

W ostatniej swej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu, na którem uchwalono go usunąć, Kosorotow powiedział:*) —Wszędzie poseł wyłuszcza przed ludnością swoje zamiary, lud zaś spowiada się przed posłem ze swych potrzeb i życzeń; inaczej być nie może. W tych warunkach, w których znajduje się poseł rosyjski, porozumienie posła z ludnością nie może mieć miejsca. W takich warunkach znalazłem się ja. Kiedy mnie wybrano na gubernjalnem zgromadzeniu ziemskiem, wyborcy zakładów przemysłowych Jurczańskich, Murawjew i Zajcew prosili mnie, abym zajechał do fabryki, gdzie było wywieszone ogłoszenie, że fabryka będzie zamknięta. Po drodze do Petersburga zajechałem do fabryki. Zatrzymałem się i napiłem herbaty. Wtedy robotnicy i włościanie dowiedziawszy się, że członek Dumy jest na stacji, zaczęli prosić bym wyszedł i pomówił z nimi. Jakże miałem wówczas postąpić? Nie wiedziałem, że posłowi nie wolno jest rozmawiać ze swoimi wyborcami. Poszedłem do nich myśląc, że jest moim bezpośrednim obowiązkiem wyjść do wyborców i pomówić z nimi o ich potrzebach. W przeciwnym razie pocóż bym istniał, cóż byłby ze mnie za poseł? Wybrano mnie, bym bronił interesów ludu, starał się o polepszenie jego bytu, jego niedoli i bezprawnego położenia, powinienem był więc znać potrzeby moich wyborców. Porozmawiałem z moimi wyborcami, obiecałem postarać się, zrobić co będę mógł; wiedziałem wówczas że słów, które mi przypisują **) mówić nie można. Nie jestem tak głupi, aby takie rzeczy mówić. Nie mówiłem, że trzeba rabować i zabijać, lecz mówiłem, że trzeba jechać do zarządu fabryki i starać się o zapomogę rządową. Daję słowo honoru, słowo wybrańca całego uralskiego proletarjatu, że nie mówiłem tego, co mi przypisują. Kiedy w gazetach wydrukowano postanowienie sędziego śledczego domagającego się usunięcia mnie z Dumy, robotnicy napisali do gazet, że rzncono na mnie potwarz. Zresztą z 8 świadków w tej sprawie wezwanych przez sędziego śledczego jeden tylko strażnik utrzymuje, że wzywałem do zabójstw. A wy, posłowie, nie wierzycie siedmiu świadkom, nie wierzycie trzydziestu robotnikom, nie wierzycie mi, wierzycie zaś jednemu strażnikowi. Nie wierząc mi, nie wierzycie sobie samym. Skończyłem".

*) Treść mowy podajemy według stenogramu pet. ag. tel.

** Minister sprawiedliwości żądanie wydania Kosorotowa uzasadnił tem, że jeden ze strażników zeznał, iż Kosorotow podburzał lud do „strzelania do szarych szyneli".

Na mowę posła Kosorotowa odpowiadał wiceprezes Dumy Meyendorf, który pomiędzy innemi powiedział:

„Mowa Kosorotowa nie mogła nie wywrzeć ciężkiego wrażenia na wszystkich, którzy poważnie traktują zjawisko życia. Kosorotow mówi: „Nie wierząc posłowi, wierzycie strażnikowi". Na to ja mu odpowiadam: Nie, ja osobiście wierzę posłowi, a strażnikowi nie wierzę; nie mniej jednak uważam, że powinienem głosować za usunięciem członka Dumy Kosorotowa. Aparat śledztwa sądowego stworzony dla stwierdzania faktów, daje nam materjał gotowy, nie możemy zastępować go sobą. Może aparat ten działa źle, może były błędy; wtedy cała ciężka odpowiedzialność spada na ten aparat, na ludzi, którzy go nadużywają do pewnych celów *(oklaski.)*

Większością 177 głosów przeciwko 109 Duma postanawia czasowo usunąć posła Kosorotowa.

BIOZOFJA JAKO NOWA NAUKA O ŻYCIU LUDZKIEM.

(Dokończenie).

Nieznajomość praw życia, niemożność, nieumiejętność wprowadzenia w życie prawd zasadniczych, uznawanych przez wszystkich, znanych oddawna — to część bied. Reszta tworzy się jako dalszy ciąg powyższych, wytwarzając niepotrzebne, nieprodukcyjne tarcie między ludźmi, stwarzając masę problematów sztucznych, zużywając ogromne masy energji ludzkiej, fizycznej i ducho-

---

była już zapełniona wcale nie źle, natomiast prawa świeciła jeszcze pustką.

Nagle ze znacznym hałasem wpadł młodzieniec o bladej energicznej twarzy i zajął miejsce po prawicy, spojrzawszy na salę wzrokiem lśniącym żądzą zwycięstw.

— A... więc pan jest? — spytała młoda wysoka panna z twarzą niewinnej świętej.

Zawiązała z nim rozmowę głosem nieco podniesionym, bo nie siedzieli przy sobie.

Wiele osób zwróciło się w ich stronę.

Panna zarumieniła się i wyglądała z rumieńcem jeszcze niewinniej. Młodzienie pozostał niewzruszony.

— Przyszedłem, aby się przekonać, czy pochwały pani są słuszne. Zobaczymy...

Na estradę wszedł Ar-Idon...

Zabrzmiały oklaski. Skłonił się, siadł przy świecach...

Sala ucichła. Słuchacze przybrali miny smętnopoważne. Panny uśmiechały się cichutko, uszczęśliwione niewiadomo czemu. Wypukłooka blondynka przyszykowała chusteczkę do płaczu.

Ar-Idon się nie spieszył. Przez chwilę z nadzwyczajnem skupieniem i nabożeństwem wpatrywał się w swe białe wątłe ręce. Potem nie patrząc na salę, z okiem utkwionem wewnątrz siebie począł deklamować:

...I wyszedł Ar z namiotu, gdzie spoczywał z żoną
(Jeszcze szałów purpurą kipiało jej łono)
I pogrążył wzrok w lasu nieobjętą ciszę
(Na wschodzie złote słońce lekko się kołysze),
Słuchał głosu, co, zda się, wychodził z za chmury
(A może go śpiewały duchów jasne chóry):
Kto jestem? I do czego idę tu na ziemi?
Błądzę, jak cień rzucony od chmury na trawę...
Czasem cisza mi serce nakrywa jasnemi
Skrzydłami, to znów chłonę krzyk i ciemną wrzawę...
A czy w ciszy, czy w huków kamiennym rozpędzie
Dusza moja tęsknoty nić żałosną przędzie...

Pierwsze dwie strofki wygłosił nieco zimno, niedbale i tajemniczo, poczem ciągnął dalej głosem, w którym drgnęło uczucie:

Nie znam nikogo z ludzi, którzy mówią ze mną
I własnej duszy nie znam, czyli jest głęboką?
Duch kobiety jest dla mnie głuchą studnią ciemną
I żmijowiskiem zdrady jej promienne oko...
Nawet ciało jej mieni się wciąż nową zjawą:
Czasem białe jak śniegi, to znów błyśnie krwawo.
Nie wiem nigdy, czy jestem samotny, czy czeka
Kto na rozstaju drożnem na moją rozmowę,
Czy droga moja blizka, czy celu daleka,
Czy myśli mają skrzydła i tony echowe,
Co biegną w ciemność nocy i budzą z uśpienia
Hymny krwi i tajemnic blade przerażenia...

Przy ostatnich słowach (...I tajemnic blade prze-

wej na przezwyciężanie trudności, które właściwie od dawna nie powinny by istnieć wcale. Niestety istnieją od niepamiętnych czasów, powtarzając się nieomal co pokolenie. Ludzkość od nich cierpi, nie rozwija się w tym tempie, w którym rozwijać by się mogła — jest to choroba, rak, który ją toczy oddawna.

Napróżno religje probowały ustanawiać przykazania, nagany, sankcjonować je z góry, opierać na powadze sił nadprzyrodzonych, boskich. Powagi te okazały się słabe i bezsilne. Po dwóch tysiącach lat istnienia religja chrześcijańska nie zdołała utrwalić na stałe w organizacjach swych wyznawców ani jednej ważniejszej zasady etycznej i dziś pod tym względem nie jest zupełnie nie lepiej, niż było za czasów wojen perskich lub peloponezkiej.

Prawodawstwa, siłą fizyczną miecza, istniejąc tak długo, nie mogły również nic więcej zrobić i tysiącolecia rozmaitych kodeksów nie stanowią szczeblów w drabinie rozwoju. Przeciwnie, zdolności przestępcze ludzkie nie tylko nie zmniejszyły się, ale przeciwnie, jeżeli nie powiększyły się, to skomplikowały się znakomicie skutkiem rozszerzenia się ludzkiego świata i liczebnie i terytorjalnie i pod względem życiowej treści. Ani religje ani organizacje prawno-państwowe nie poradziły sobie dotychczas ani z przestępstwem ani tem mniej z owym mnóstwem najróżnorodniejszych drobnych wykroczeń, od których roi się życie współczesne. Nie zdołały one usankcjonować praw zasadniczych, nie dają gwarancji wprowadzenia ich w czyn, używając tak jak i dawniej, jako jedynego narzędzia — teroru, przymusu, środków gwałtu, czy to grożąc karami po śmierci czy stosując karę za życia, samodzielnie nie wyrobiły ani jednej ważniejszej prawdy, wchłaniając jedynie lub kodyfikując to, co oddawna z wielkim trudem zdołało wyrobić samo życie.

A ta robota samego życia jest bardzo ciężka. Wyobraźmy sobie doktora, który badał by chorobę dopiero wtedy, kiedy byłby sam na nią chory, inżyniera, który rozpoczynał by sypać wały ochronne wtedy, kiedy rzeka wystąpiła już z brzegów i zaczyna zalewać okolicę, technika, który buduje wielki zakład przemysłowy, aby... w nim robić dopiero eksperymenty nad przyszłą produkcją.

Eksperymentują dziś i eksperymentowano zawsze na żywym materjale ludzkim, probując nowych prawd i nowych urządzeń, nowych sankcji i nowych sposobów wprowadzenia w życie prawd uznanych i eksperymenty te zawsze obficie zlewane są krwią ludzką, bólem i nieszczęściem. Co te eksperymenty warte są — dowodzi tego historja i rezultaty osiągnięte. Jest to macanina i próbowanina okrutna. Ileż to już prawd, praw wprowadzono w życie z najlepszemi nawet intencjami, które w skutkach okazały się fatalne. Nietykalność osobistej własności, którą sto lat temu z taką aureolą zadeklarowano przy ogłaszaniu wielkich praw człowieka, dla której tak silnie wstrząśnięto podstawy ówczesnego ustroju, tyle krwi przelano, okazała się prawdą bardzo wątpliwej wartości, stała się punktem wyjścia dla chciwości, egoizmów ludzkich, oparciem dla całego szeregu kombinacji, mających na celu wyzysk, macierzą nowych przestępstw, wykroczeń i błędów. Dziś wiszą w powietrzu całe szeregi nowych prawd, które już wiele kosztowały. A czekają nowych „eksperymentów“. Tymczasem wartość ich teoretyczna nie przedstawia się jasno dla nikogo. A jakimi one okażą się w praktyce, tego nikt nie wie, ani przewidzieć nie jest w stanie.

Wobec tego zjawia się konieczność stworzenia nauki o życiu, która by odpowiadała następującym wymaganiom:

1) Była *teoretyczną*, t. j. aby w stosunku do praktyki życiowej była przedewszystkiam niezależną tak, jak np. badanie naukowe własności materji i sił jest niezależnem od najrozmaitszego rodzaju gałęzi produkcji przemysłowej.

Tak jak fabrykant kwasu siarczanego, stawiając fabrykę, bierze *gotowe* prawdy, prawa, tyczące się wyrobu z chemii, tak samo polityk, rządzący lub administrujący społeczeństwem powinien mieć prawdy, które chce wprowadzić w życie, już w stanie gotowym, pewnym, wypróbowanym. Bo eksperymenty w życiu są *wiwisekcją*, która powinna być zabroniona.

2. Która dawała by prawdy życia w takiej formie, w jakiej dają je nauki ścisłe, obywając się bez wszelkiej sankcji wyższych, bez autorytetu siły fizycznej, przekonywające siłą *jasnego wykazania* korzyści, które z nich dla życia płyną.

---

rażenia) Ar-Idon syknął jak wąż i pierwszy raz spojrzał na salę szerokim, jakby niesłychanie zdumionym wzrokiem. Potem zmienił głos i zaczął, jakby oddając słuchaczom najgłębszą tajemnicę, żałośnie, z gorzkim smutkiem:

Pójdę ja szukać Losu, co się naigrawa,
I zmierzę siły moje z jego siłą wrzącą,
Jak wrogowie zaciekli zetrzem się gorąco
I będzie to ostatnia borba, walka-sława!
A ten, który zostanie żyw po walki łunie
Będzie brata powitać mógł w krwawym piorunie!

Skończył tę strofę, niemal krzykiem, naśladując huk piorunu, poczem zmniejszył natężenie głosu i zaczął tonem spokojnym. ale z odcieniem sentymentalnej tajemniczości:

Tak mówił... I na górę zwraca się ponurą
Tam widać już czekają nań żelazne wrota

Tu poeta uśmiechnął się skrytobójczo.

A Olbrzym-Los twarz zakrył granatową chmurą,
Lecz kiedy ręka Ara z przekleństwem się miota
Padły zapór żelaza... chmura się rozwiała...
Przed sobą ujrzał Losu twarz... Ziemia zadrżała...

Na sali było cicho. Kobiety siedziały podane naprzód z wilgotnemi ustami. Oczy Ar-Idona zapłonęły:

A Los wyciągnął groźną pięść, krzepką buławę
I między oczy Ara cios runął straszliwy...
Ar się zachwiał... krew warem chlusnęła na trawę. .
Włosy na nim powstały na kształt wściekłej grzywy
I złapawszy oddechu uderzył z łoskotem
W pierś wroga... Zajęczała pierś krwawym charkotem.
Zwarli się z sobą obaj jako kochankowie,
Kiedy czerwona żądza ciało ich rozpali,
Runęli na murawę, a w blizkim parowie
Zwierzęta przywabione rykiem ich z oddali
Stanęły i patrzyły w milczeniu głębokiem,
Jak krew pluszcze na kwiaty szkarłatów potokiem.
Słuchały, jak się łamią żebra i jak kości
Chrupoczą pod uderzeń ołowianą mocą,
A dzień był pełen słodkiej rzewnej słoneczności
I na drzewach konary promiennie się złocą
I po błękitnem niebie płynie obłok biały,
Jak jedwabny proporzec nad doliną Chwały...

— Tak, tak — szeptała wielbicielka poety — tak Ar-Idonie!

Była w uniesieniu. Obejmowała go aksamitnemi oczyma. Ar-Idon wąchał fijołki:

Od rana do wieczora patrzyły zwierzęta,
Jak walczył Ar ze srogą Losu swego zjawą,
Od rana do wieczora cisza lasów święta
Wrzała rozhukiem walki i pachniała krwawą
Posoką, co jak lawa spełzła aż po parów

Wobec naszych chwiejnych poglądów na całokształt zjawisk świata, na człowieka, na jego stosunek do natury i siebie samego, tylko na *nauce można oprzeć życie*, bo wszystko, co dotychczas w ludzkości rośnie, stoi mocno, przynosi niewątpliwy pożytek, reguluje je i rozwija w kierunku potrzeb i pragnień ludzkich, tylko na naukach się opiera.

Nie religja, nie prawodawstwo i siła państwowa, ale nauka może tylko dowieść, dla czego nie można zabijać, kraść, kłamać, czemu uczciwość jest lepsza od nieuczciwości, czemu geniusz jest wyższy od głupoty, rasowo rozwinięty człowiek od nieudanego mieszańca, czemu nie wolno krzywdzić, żyć z bliźniego etc. etc.

F. Jabłczyński.

„KRYZYS" DUSZY INTELIGIENCKIEJ.

(Dokończenie).

Lecz oprócz tych dwuch ostateczności jest jeszcze jedna forma stosunku do tego zagadnienia, a do niej prowadzi zrozumienie, że *bezsensowność życia u Andrejewa jest bezsensownością życia indywidualnego*

Życie, jako proces wyłącznie indywidualny, zamknięty w ramach osobnika, ze swą tragiczną, ślepą ograniczonością w czasie nie dopuszcza wprost analizy rozumującego intelektu, a analizującemu je musi się przedstawiać tak, jak się przedstawia Andrejewowi.

Życie indywidualne i wartościujący intelekt istnieć współrzędnie nie mogą. I dlatego o ile życie istot, pozbawionych zdolności wartościowania może być procesem wyłącznie osobnikowym, jest takim i jestto rzeczą biologicznie normalną, o tyle taki charakter życia istot wartościujących byłby wprost absurdem biologicznym, byłby powołaniem do życia istot, do życia nieprzystosowanych. W samej rzeczy w chwili pojawienia się pierwszych śladów zdolności wartościowania człowiek pierwotny nie żyje już życiem indywidualnem. Człowiek wartościujący jest odrazu człowiekiem społecznym. A być człowiekiem społecznym znaczy to być związanym tysiącznemi nićmi z życiem gromady, żyć jej życiem, czuć jej czuciem. Im bardziej potężnieje wartościujący intelekt tem integralniejszą (bynajmniej nie w sensie niwelacji) cząstką społeczności staje się człowiek, tem silniej zlewa się proces jego życia z procesem życia gromadzkiego, tem bogatszym i wielostronniejszym staje się wreszcie samo życie gromadzkie. I jeżeli teraz wartościujący umysł zwróci się ku życiu człowieka, to przedstawi mu się ono jako proces uspołeczniony, jako owo bogate, różnobarwne, przyszłościowe, entuzjazmujące życie jednostki w społeczności. Odczuciu i pojmowaniu człowieka społecznego dostępne jest tylko to życie; prąd życia gromadzkiego przepływa przez jego wnętrze i wyodrębnia się zeń, przeciwstawić się mu człowiek społeczny nie jest w stanie. Poczucie swej społeczności jest tem co pozwala człowiekowi bez niebezpieczeństwa zastanawiać się nad treścią życia.

Ale oto jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska: nowoczesny rozwój społeczny powołał do życia warstwę, której najistotniejszą cechą jest właśnie *brak* poczucia społeczności. Stoi ona poza sferą kooperatywnych interesów, bierze minimalny udział w twórczości społecznej, niczem prawie ze wspólnotą nie związana, zatomizowana, niespójna. Ile jednostek tyle zamkniętych, często — na domiar — starannie strzeżonych światów. Tą upośledzoną warstwą jest inteligencja współczesna*). Nie tu miejsce zastanawiać się nad tem, jaką drogą powstał ten fenomen. Jestto jedna z licznych sprzeczności i potworności, zrodzonych przez rozrastającą się i potężniejącą gospodarkę człowieka w ramach „terenu sztucznego". Powiadam: „potworności", gdyż brak uspołecznienia w powyższem znaczeniu jest niejako brakiem organu niezbędnego do życia, jest czemś, co musi uczynić życie absurdem. Być człowiekiem wartościującym i być jednocześnie „człowiekiem jedynym" („odinokij") — to najbardziej

*) Nie potrzebuję się chyba zastrzegać, że to, co mówię i będę mówił w dalszym ciągu *nie stosuje się* do tej części inteligencji, która zrosła się organicznie z jakąkolwiek z warstw, biorących ten lub inny udział w twórczości społecznej, to znaczy do *uklasowionych* jednostek z pośród inteligencji; chodzi wyłącznie o czysty typ bezklasowego zawodowca myśli.

I tygrysy lizały krew od walki żarów
Gorącą jak płomienie...
Nareszcie charknęła
Pierś Losu raz ostatni i dyszeć przestała...
Dokonał Ar krwawego śmiertelnego dzieła...
Twarz jego od zachwytów była jak śnieg biała
I podniósłszy ramiona zwrócił się ku słońcu
Na chwilę przed zachodem...

Ar-Idon wzniósł ramiona i jakoby ważył w nich złocistą kulę słońca, nim ciśnie ją na salę:

Złoty Gońcu!
Zanieś o mojej chwale wiadomość w zaświaty!..
Oto zwalczyłem wroga — Losu pięść stalową!..
I więzienia głuchego wyłamałem kraty!..
I ujrzałem blask niebios nad zwycięzką głową!..
I rzucam bogów tłuszczy wyzwolenia hasło!.."
Słońce spojrzało okiem krwawem i... zagasło.

Był to już zenit uniesienia w Ar-Idonie. Głosem opadłym wygłaszał dalej:

I szedł Ar, by wrogowi w twarz spojrzeć ostatnio.
(Już opadły z niebios szarych zmierzchów kiry)
I pomyślał: „Dlaczego nie była mi bratnią
Dusza jogo... Załkało coś w nim jak gwar liry
I w milczeniu, objęty zadumą głęboką
Nad twarzą Zabitego ciche zwiesił oko...

Po tej strofie głos Ar-Idona znów się przemienił. Popłynął smętnie i wolno. Po uniesieniu smutek go opanował:

I ujrzał, że twarz Losu była to twarz Jego,
Że własnemi rękoma zamordował Siebie,
Że niesie w sobie pustkę, że go już nie strzegą
Tajemne siły w chramów złotych śnionem niebie...
I nagle jak podcięty dąb runął i ducha
Wyzionął. Już zapadła noc ciemna i głucha.

Ostatnią strofę wykłał uroczyście:

Złocistemi oczyma patrzyły z otchłani
Gwiazdy na twarz zastygłą Ara, gdy uśpiony
Pocałunkiem wieczystym najłaskawszej Pani
Ścichł... Lecz od tej ciszy gdzieś zaświatów dzwony
Płakały piorunowo huczącym peanem
Nad wiecznego Milczenia gorzkim Oceanem...

Zabrzmiały oklaski...

Jedni klaskali, bo podobał się im „cudny poemat, inni, że się „to" skończyło.

Wypukłooka piękność z westchnieniem schowała chusteczkę. Doznała zawodu: nie mogła ani razu zapłakać... Ale przebaczyła to Ar-Idonowi.

Jego wielbicielka — panna z twarzą białą i niewinną — zwróciła się rozpromieniona do surowego młodzieńca .. z nadzwyczajnym pośpiechem i skwapliwością...

anti-życiowa kombinacja warunków, — to pewna perspektywa tak dobrze nam znanej szarpaniny wewnętrznej. Przekleństwem inteligencji dzisiejszej jest jej indywidualizm, fakt, że została ona przez warunki historyczne postawiona poza przebiegiem życia gromadnego, jej zatomizowanie, jej zwrócenie się wyłącznie lub przeważnie ku sobie. Jej „wyższość ponad życie gromadne“ jest nieprzystosowaniem do życia, jest życia zaprzeczeniem. I inteligient, który to sobie uświadomi, musi z całej duszy przeklinać nie bezsens życia, jako takiego, lecz los, który go uczynił członkiem nieprzystosowanej do życia grupy. Męcząca go pustka musi mu kazać zazdrościć uspołecznionym warstwom ich pełni życia, o ile się ona w dzisiejszych warunkach już urzeczywistnia; wieczny jego tragizm — obawa śmierci musi mu nasuwać niepojęte dlań, a jednak prawdziwe obrazy śmierci bohaterskiej ze śpiewem na ustach — za wspólną sprawę*).

Nie posiadając poczucia społeczności, bez którego *ocena życia w jego całokształcie* musi dać andrejewowskie wyniki, inteligiencja ma przed sobą jedną tylko możliwość: wyzbycia się samej analizy w stosunku do życia, brania go takim, jakim jest w swych najelementarniejszych przejawach, rozkoszowania się tym, co w nich rozkosz dać może, słowem — powrót do pierwotnego życia chwilą i chwilowym wrażeniem. Wobec niebezpieczeństwa wartościowania, trzeba zrezygnować z wartościowania i w ten sposób przystosować się do życia. Oczywiste, że możliwość ta zależy od organizacji psychicznej tego lub innego osobnika, że dla niektórych osobników droga ta jest zamknięta — i to są chroniczni nieszczęśnicy.

Z tego jedynego wyjścia, jakie pozostaje inteligiencji, współczesna literatura rosyjska uczyniła kierunek. W „Saninie“ Arcybaszewa, najbardziej dziś rozchwytywanym utworze, a za nim w utworach i utworkach całej plejady Kamienskich, Kuzminych etc., życie tak otwarcie, planowo i zasadniczo sprowadzone zostało do elementarnego użycia zmysłowego, że literatura Europy Zach., zewnętrznie tego samego pokroju, ani z części porównać się w tym nie może. W krytyce rosyjskiej mówiło się i mówi o „Saninie“ bardzo wiele; do niej też odsyłam czytelnika. Zwrócę uwagę tylko na jedno; na krańcowy pesymizm Sanina, gdy chodzi o zdanie sobie sprawy z zagadnienia życia i na godzoną z tym pesymizmem możliwość rozkoszowania się życiem w jego codziennych, najprostszych przejawach. „Nie zastanawiaj się nad życiem, bo ono tego nie warte, lecz bierz z niego tyle rozkoszy, ile ci dać może“ — oto nieskomplikowane credo Sanina. Czego Sanin z całej duszy nienawidzi — to wiecznego wątpienia, wiecznego wahania, wiecznego „szukania“ swych współinteligientów. Dla niego życie z dnia na dzień jest wszystkim, bezprogramowość — programem. Trudno o dobitniejszy wyraz tej jedynej pozostającej inteligiencji możliwości życiowej, o której mówiłem.

Niema absolutnie nic wspólnego, pomiędzy radością życia Sanina, a tą radosną przyszłościowością, jaka cechuje stosunek do życia człowieka społecznego. Tu w istocie rzeczy ucieczka od życia, zagłuszenie się i oszołomienie rozkoszą — „byleby się nie zastanawiać“, tam — poczucie własnej przewagi, własnej kształcącej życie potęgi, poczucie swej wieczności i olbrzymiości. Tu — skrajny pesymizm i nienawiść do człowieka-współzawodnika, tam — jasna w swym uzasadnieniu wiara w przyszłość i poczucie solidarności międzyosobnikowej.

W krytyce rosyjskiej wiele mówi się o „kryzysie“ duszy inteligienckiej, o pewnym przejściowym, wywołanym przez zwężenie łożyska życia społecznego, jej

*) Ciekawe, że Andrejew zdaje sobie b dokładnie sprawę, że kwestja sensu życia nie jest kwestją objektywnej jego wartości. Już po napisaniu niniejszego artykułu wpadł mi w ręce numer tygodnika „Swobodnyja Mysli“, poświęcony dziesięcioleciu działalności pisarskiej Andrejewa. Jeden z krytyków zamieszcza tam wspomnienia z osobistych stosunków z Andrejewym i przytacza między innemi następujący szczegół. W rezultacie jakiejś rozmowy krytyk ów zapytał: „Czy w samej rzeczy życie jest tak złe, ciężkie i bezsensowne, jak wy je malujecie?“ A Andrejew odparł: „Kto je tam wie, jakie ono jest w samej rzeczy. Wszystko zależy od naszego do niego stosunku. A mój stosunek do życia jest zupełnie określony“.

— No, jakże... przekonał się pan?.. Prawda, jakie to głębokie i piękne?

— Nie, pani — odparł — to nie jest to, czego szukam... Czy odnalazła tam pani swą duszę? Proszę mi powiedzieć, co pani odczuła?

Zapłoniła się...

— Oh, jesteś pan niedyskretny — rzekła. — Chce pan odemnie takich wyznań... Nie powiedziałabym tego nawet Ar-Idonowi.

Młodzieniec oddalił się, wystukując obcasami uporczywie:

— Nie tego nie trzeba... Nie tego nie trzeba... nie tego...

— .. Ale doprawdy, co ja odczułam? — pytała siebie w skrytości.

I w czasie tych rozmyślań ujrzała ogromnego zielonego węża, potwornie długiego z błyskającą łuską i świecącemi oczyma.

Wyprężył się i wpełzł jej do gardła, a tą drogą dostał się do „duszy“. A tam wyprawiał harce i pląsy...

Błyskał ulewą szmaragdową, rozniecał tęczowe skry, mienił się, lśnił. Oczy jego to gasły, to paliły się jak karbunkuły.

— ... Jestem opętana... — szepnęła zapatrzona w polski i rzuty węża.

— Hm — mruknął pan nieco wyszarzany, ale z czołem wyniosłem — forma wcale artystyczna...

— Ach, — pisknęła dama z dużym nosem urażona i jakoby dotknięta w bolesne miejsce — tu nie tylko o formę chodzi!... Myśl... myśl... Trzeba przyznać, że po mistrzowsku wybrnął z trudności... dotknął najgłębszych zagadnień...

— Tak... tak... Ale pesymizm...

Ar-Idon ukazał się na sali.

Gorąca zwolenniczka zastygła w uwielbieniu. Jej oczy szły za nim z promiennym krzykiem.

Wypukłooka Sydonja spojrzała na poetę z miłą wdzięcznością i nieskończoną dobrocią.

Dramaturg Cedrowski pojmał w lot jej spojrzenie i zapłonął zazdrośnie.

— Niema ani odrobiny talentu —myślał mściwie — ale sprytna sztuka.

Tymczasem Ar-Idon odbierał skromnie powinszowania i uściski dłoni.

Niewinna panna witając się z nim oblała się pąsem poruszyła ustami i nic nie rzekła.

Matrona, która podczas deklamacji drzemała, teraz przeżegnała go krzyżem i pobłogosławiła, bo jej szepnięto, że to nowy wieszcz polski następca Wyspiańskiego (prawdopodobnie).

Synowie jej rzekli:

— Bardzo ładne!

— Popisałeś się pan!..

Ar-Idon czuł zadowolenie i trochę wstydu. Poemat wydawał mu się nad wyraz marny. Przybierał jednak minę niewinnego myśliciela, rozmarzoną i smutną. Czuł się nieco poetą, trochę augurem...

(*C. d. n.*)

nastroju. Łatwo możemy zrozumieć, czemu to, co dziś widzi krytyk rosyjski, musi robić na nim takie właśnie wrażenie, jeżeli sobie przypomnimy, że on zrósł się z myślą o społecznych skłonnościach inteligiencji swego kraju. Dla nas jednak po wszystkim, co było powiedziane, nie ulega wątpliwości, że inteligiencja rosyjska dopiero dziś zaczyna wyłaniać z siebie pierwiastki, które mogą być nazwane inteligienckiemi w powyższym warunkowym znaczeniu. To nie czasowy kryzys, to stan normalny, z którego te żywioły wychodzą tylko w okresach wyjątkowo ożywionego bezpośrednim dążeniem życia społecznego, kiedy silny prąd życia porywa je ze sobą, budzi szczątkowe instynkty społeczne i czasowo przyłącza do walczących o wspólną sprawę gromad. Ten silny prąd istniał przez całe niemal stulecia w społeczeństwie rosyjskiem. Gdy, jak dziś, fala opada, inteligient znów zagłębia się w siebie, znów zaczyna się dlań czas zwykłej, codziennej, inteligienckiej szarpaniny, niszczącej i wyjaławiającej duszę, lub życie z dnia na dzień, „jakkolwiek“, drobnemi rozkoszami, chaotycznemi wrażeniami i ciągłą podnietą zmysłów. Tylko mocno, organicznie zrośnięte z twórczością społeczną żywioły inteligenckie pozostają wtedy wewnątrz społeczności, jakkolwiek i one znajdują się wówczas w niebezpieczeństwie recydywy drzemiących w nich inteligienckich nawyknień psychicznych.

I w tem tkwi groza dzisiejszej chwili w Rosji i przyczyna chronicznego rozpowszechnienia się wśród części warstw myślących Europy wszelkich form inteligienckiego stosunku do życia.

St. Warer.

MAKSYM GORKIJ.

O CYNIZMIE.

Bieg świata staje się szybszym, gdyż coraz głębiej tajemne otchłanie jego przenikają potężne dreszcze wiosennego przebudzenia, wszędzie czuć już wyraźnie podziemne wybuchy,—energja potencjalna uświadamia sobie swą moc twórczą i gotuje się do czynów.

Powoli, lecz ciągle i nieustannie rozwija się wśród ludzi samopoczucie, zapala się słonce sprawiedliwości społecznej i pod ciepłemi tchnieniami przyszłej wiosny topnieje i znika zimowy całun, lodowy i ciężki, całun fałszów i przesądów, bezwstydnie obnaża swą skażoną nagość podpora współczesnego społeczeństwa — ciemnica ducha ludzkiego.

Miljony oczu płoną radosnym wzrokiem, dokoła łyskają gromy gniewu, rozdzierając ognistym swym blaskiem odwieczny mrok, rwąc gęste chmury głupoty i błędów, kłamstw i przesądów: żyjemy w wigilję wielkiego i cudotwórczego wszechswiatowego święta odrodzenia mas ludowych.

Przygnieciony okrutną stopą do ziemi, skuty łańcuchami kajdan niewolniczej pracy, lud podnosi uznojoną głowę i w promieniach wschodzącego słońca widzi już rysy jego wieczyście młodego oblicza.

A ci ludzie, którzy rozumieją, że lud jest niewyczerpanem źródłem energji i że on jeden zdolnym jest mocarną swą dłonią przetworzyć wszystko możliwe w konieczne, wszystkie marzenia w formę jaw przyoblec, ci ludzie są szczęśliwi, albowiem w nich żyje zawsze twórcze uczucie swego organicznego związku z ludem, które obecnie wyrośnie do granic ostatecznych i napełni dusze ich pięknem weselem i pragnieniem stworzenia form dla nowej kultury.

Życie rośnie i współczesne społeczeństwo odczuwa skurcze gleby pod swemi stopami, — przebija to wyraźnie w całej jego psychologji, a najdokładniej odzwierciadla to ogólny lęk przed dniem jutrzejszym. Dusza człowieka jest dziś pustkowiem, lecz z mimowolnem drżeniem czeka on na coś nieznanego i wrogiego mu, co się jutro w niej zjawi, co wyrośnie w duszy jego, jak sfinks i władnie rozkaże kategorycznie i stanowczo rozstrzygnąć dojrzałą zagadkę społeczną.

Przeczuwając nieuniknione przyjście konieczności, czując się bezsilnym wobec jej mocy, — burżua pragnie skryć się gdziekolwiek i czemkolwiek wypełnić swą pustkę wewnętrzną. A wyrzec się swego ciepłego zakątka i swego zwykłego spokoju nie może, bo nie pojmuje, iż ów rzekomy spokój jest raczej autosugestją, niż czemś realnem. A umiłowane przystanie, w których się kryje mieszczaństwo przed życiem to — Bóg, metafizyka i cynizm. Lecz Bóg istnieje tylko dla tych, którzy mogą go stworzyć w duszach swych siłą wiary i ożywić ogniem ich, — w małej duszyczce współczesnego człowieka zagasły wszystkie światła i w mroku jej brak miejsca nie tylko dla Boga, lecz nawet dla najzwyklejszego bałwana.

Metafizyka dobrą jest po zwycięstwie, a przed walką konieczną jest dokładna wiedza; metafizyka nie jest w stanie uspokoić serc trzepocących, owładniętych panicznem przeczuciem porażki. Gdy człowiek chce się czego dowiedzieć, coś poznać — bada, a gdy pragnie skryć się przed niebezpieczeństwami życia — fantazjuje.

Groźne dni obecne nie dają czasu i nie pozwalają fantazjować, a więc usiłowania burżuazji osłonić się mgłą metafizyki spełzają na niczem. Wreszcie, metafizyka jest twórczością. Jak każdy czyn wymaga i ona natchnienia i siły, miłości lub nienawiści, a burżuazja nic nie kocha, a nienawidzieć mocy nie ma. Przeczyć temu znaczyłoby kłamać, gdyż mieszczaństwo samo ustami poetów swych i pisarzy przyznawało i coraz częściej przyznaje się do tego, że przeżywa obecnie kryzys duchowy, bankructwo duchowe. Należy powiedzieć — agonję duchową.

Współczesny cynizm przyobleka się w najróżnorodniejsze szaty, — najwstrętniejszą z nich jednak i najbezmyślniejszą jest czarny, ponury płaszcz pesymizmu.

— Nicość nicości i wszystko nicość! — bełkoce burżua martwe, bezduszne słowa, dekorując się romantycznie łachmanami swojej słabości. Życie wije się w ogromnem pragnieniu swobodnej twórczości, setki i tysiące bohaterów śmiało, dumnie i nieustraszenie giną w walce rozpaczliwej o urzeczywistnienie wielkiego marzenia — wszechświatowego braterstwa ludów — i cynik wie o tem.

— Pokolenia rodzą się, pokolenia mrą — szepce, opuściwszy głowę nad foljałami starych ksiąg, w których niespokojna żywa myśl ludzka doświadczała siły stworzonego przez się Boga, doświadczała i wybuchała bolesnem zwątpieniem w moc i piękno jego. I, gdy widzisz, że za dumne psałterze te, niby za parawan, kryje się nędzna postać tchórzliwego cynika, kryje się i bezrozumnie złorzeczy mądrości, by tem usprawiedliwić lenistwo swe lub niemoc, wstyd cię ogarnia za splugawienie świetlych stron mądrych ksiąg.

Niegdyś poważny i piękny, wywołany nadmierną miłością i szlachetnym gniewem, pesymizm, przetrawiony gadułami, splugawiony śliną burżua i brutalnie ujęty ich brudnemi dłońmi, stał się teraz jeno nieforemną brzydką masą stłoczonych małostkowych codzienności.

— Niczego się nigdy nie dowiemy, daremnie usiłujemy rozwiązać otaczające nas ze wszech stron zagadki, — mówią cynicy i pogrążają się w lepkie błoto cuchnących rozpust. A kiedy słyszę, że ktoś gdzieś, nieustannie i niezmordowanie badając tajnie życia, wzbo-

gacił myśl ludzką nowem, genjalnem odkryciem, nadał sposobom poznawania natury nową energję, — rozdrażnia ich to.

— Wszystkie usiłowania wasze płonne są, nic nigdy nie wiedzieliście i nic wiedzieć nie będziecie, odgadkowy aparat wasz był, jest i będzie zawsze niedokładny — z oburzeniem i pewnością proroczą dowodzą cynicy. I wtedy tak rażąco podobni są do ślepego żebraka, który odrzekł przechodniowi, nazywającemu go ślepym: „sam jesteś kaleką, bo masz dwoje oczu".

— Czy warto żyć? — pyta cynik. I wnet przytacza całe szeregi cytat — w poezji i w prozie — dowodzących wymownie, że żyć nie warto, a potem — żyje, żyje długo, dostatnio, syto i spokojnie.

Bo jeśli już zdecydowanem jest ostatecznie, że żyć nie warto, niemniej jednak należy czynić wszystko, by rozweselić bieg życia, należy wytężać wszystkie siły i rozumu biegłość całą, aby piękno miłe i radosne rosło stale, aby jego szczera prawda wciąż się rozwijała. A więc — byle żyć, byle ssać krew czyjąś i pot, byle stłaczać góry błędów, byle bronić zawzięcie osobistego swego istnienia i własności (głównie własności!), byle umacniać stare przesądy i stwarzać nowe, byle gwałcić czyjąś wolę, byle wszystko splamić i zbrukać — a potem w lodowej trwodze żebraczego lęku przed ową nieubłaganą koniecznością, zlać pustkę duszy swej z pustką wieczności, konać długo, wić się w skurczach tchórzliwych, napełniać świat nędznemi rozpaczliwemi krzykami, chwytać się chciwie każdego włosa życia i ulec wreszcie i uwolnić ziemię od swej na niej obecności, pozostawiwszy jednak w spadku jeszcze bardziej złożoną i zagmatwaną swem uczestnictwem ciężką sieć zgniłych, lepkich kłamstw, słów martwych, obmierzłych przesądów i innego śmiecia...

— Czy ludzkości żyć warto? — pyta cynik i chwytając zewsząd odłamki skażonych i zszarpanych przez siebie myśli, szybko decyduje, opierając się na próchniejących kościach trupów:

— Nie...

Lecz jest to zbyt wczesne rozwiązanie pytania tego, — może ono w ten lub inny sposób być rozstrzygnięte jeno wtedy, gdy cała masa biało, żółto i czarnoskórych ludzi, zamieszkujących świat od krańca po kraniec pozna wszystkie dobrodziejstwa życia, odczuje wszystkie rozkosze ducha i ciała, rozpatrzy i pojmie całą tytaniczną pracę ludzkości aż od początków jej istnienia, zrozumie całą potęgę miłości, cierpień i czynów przeszłości, oceni wszystkie zdobycze przodków swych i równomiernie podzieli pomiędzy wszystkich całe niezmierzone ich doświadczenie. Może wtedy ludzie, jak mąż jeden, postanowią jednogłośnie podminować i zburzyć glob ziemski — takie prawo im najzupełniej przysługuje. Lecz gdy pasożyty na ciele niemego olbrzyma decydować chcą kwestję wartości istnienia jego, to wstrętnem jest i śmiesznem, — to — cynizm!

Człowiek prawie wszystko, co go otacza, może uczynić pięknem. Był czas kiedy i cynizm swój pokazywał on światu w formach wyraźnych i silnych, lecz cynizm dni naszych stał się nieprawdopodobnie potwornym i nędznym. Herodowie drżą lękliwie o posiadaną przez nich władzę; wiedząc, że powstała nowa religja, pragnęliby wytępić doszczętnie tych wszystkich, którzy wierzą święcie w możliwość królestwa ludzkiego na tym padole łez i nieszczęść, gdyż ziemię tę od wieków i na wieki przywykli nieugięci Herodowie uważać za królestwo swej obmierzłej ohydy.

Śmierć zabiera legjony ofiar, giną ludzie najbardziej potrzebni i użyteczni celom życia, giną wierzący. I o tępieniu tem mas ludzkich myśleć i mówić można jedynie z gniewem bezmiernym w sercu i wstrętem, albo też, pomnąc, że lud jest nieśmiertelnym, mężnie i hardo milczeć, ale jęczeć i rąk załamywać — nie wolno. I uczucie litości i pożałowania jest równie upokarzającem, jak niezbędną jest zemsta. Lecz za morderstwa te śmierci winić nie należy, sprawcami powiem ich są ludzie, oszaleli ze strachu. Gdy zaś śmierć zjawia się w sam czas, gdy przychodzi, by spokojnie i naturalnie usunąć z drogi życia słabe, przeżyte, półmartwe istnienie — czyż można ku niej coś jeszcze, prócz wdzięczności, żywić? Czasami godną jest ona potępienia i przekleństwa, a to wtedy, gdy nieuważnie i bezmyślnie wypełnia obowiązki swe — wielu ludzi bowiem żyje zbyt długo. Lecz wszystko, co jasne i proste, wszystko, co zwykłe i naturalne, obce jest cynikom, którzy w żaden sposób nie mogą wyobrazić sobie, jak wstrętnem byłoby życie, gdyby mieszczaństwo było nieśmiertelnem. Lęk życia każe i zmusza ich do ciągłego myślenia i mówienia o śmierci, — jak żebracy trędowaci, liżą tchórzliwemi językami piszczele jej kościotrupa i, jak żebracy, błagają pokornie, niby o jałmużnę nędzną, o trochę, trochę litości. W pojęciach ich o niej jest coś chamskiego. Sługus, bojąc się, że pani oskarży go o kradzież kilku kawałków cukru, zawczasu już podlutkiemi pochlebstwami stara się złagodzić jej możliwy gniew.

Śmierci boją się i, prawdopodobnie, boją się szczerze; pewnie bez przerwy we dnie i w nocy — burżua czują na sobie tłoczący ciężar widmowego przerażenia, a jednocześnie na cześć jej układają kłamliwe hymny, osypują ją papierowem kwieciem swej ubogiej i bezdusznej fantazji, kłaniają się jej i pełzają jak gady u nóg, nie mając odwagi spojrzeć w jej spokojne i mądre oblicze; bełkocą zbielałemi wargami o wielkiej mocy i złowrogiej piękności śmierci, a oczy ich, zwężone strachem panicznym, widzą jej postać okrutną i odrażająco brzydką.

Mówią do niej:

— Czekamy ciebie, przyjdź, upragniona!

A myślą:

— O, poczekaj! Jeszcze dzień, jeszcze krótko, zmiłuj się!

I śmierć z pogardą odwraca się od nich, bo jest wybredną, co można sądzić z prawdy, że tak bardzo długo władną swą ręką nie przerywa cierpień dotkniętych syfilisem, skręconych trądem, złamanych paraliżem postępowym.

Życie żąda od człowieka pracy, czynów, siły, piękna! — a cynicy mówią:

— Niema życia, jest tylko śmierć...

Niema ideałów, niema sił i woli, by je stworzyć, lecz jest wzamian niewolnicze przyzwyczajenie padania na twarz, w proch i ono stwarza kolorowe bożki i w modlitwach ku nim cynicy szukają zapomnienia. A niekiedy udają prawdziwie cierpiących i jęczą:

— Jedząc strawę swą codzienną i ubogą, zbyt mało spożyłem miodu.

Kłamią! — Powinni rzec:

— Żarłem wszystko, co wydało mi się jeno słodkiem i oto otrułem się jadem przesytu.

„Życie i śmierć — dwie wierne przyjaciółki, dwie siostry rodzone, dwie nieśmiertelne córki nieśmiertelnego czasu". Jedna z nich oskrzydlona cudownemi i tajemniczemi marzeniami, niezrozumiale szczodra, zawsze kocha i zawsze kochająca, promieniejąca w blaskach słonecznych, płonąca wiecznem pragnieniem czynów. A druga — zamyślona, skromna, śnieżno-biała, dumnie czysta, jak toń morza w noc cichą, wyniośle poważna, o głębokich oczach koloru niebiańskiego zefiru w skwarny dzień letni, o oczach, w których lśni pieszczotliwie dobroć bezmierna i niewypowiedziana troskliwa duma o życiu, niby wdzięczny uśmiech za jego trudy.

Życie nieustannie rozrzuca po ziemi nasiona i wszystko drży w przeczuciu radosnem na drodze jego, wszystko rośnie, kwitnie, bawi się kolorami, śpiewa i śmieje się upojone słońcem. Lecz tworząc, życie szuka, gdyż pragnie ono do istnienia natchnąć jeno wiel-

kie silne i wieczne, a gdy spostrzega nadmiar marnego i słabego, mówi do siostry swojej:

— Silna, pomóż! To — śmiertelne.

„Śmierć jest pokorną służką życia“...

Coraz częściej cynizm zjawia się przed ludźmi w pstrokato-barwnych strojach „nowego piękna“.

— Miernikiem życia jest piękno — powtarza cynik cudze słowa, których nie rozumie i których treść obcą jest i wrogą cynizmowi. Gdzie okiem jeno sięgnąć, widzi się naokół taki obraz: potworne dzieci zwyrodniałego mieszczaństwa o zimnej krwi w żyłach, schorowane kobiety, w których brak cienia nawet piękna, zmęczeni rozpustą młodzieńcy, zgięci od reumatyzmu i pedagry ogłupiali starcy; a dalej żywe pomniki twórczych rządów mieszczaństwa — bezrozumni łotrzykowie — dzieci ich i gnijące prostytutki — ofiary ich. I zewsząd spoglądają wpółoślepłe oczy, ociekające ropą i gnojem, oszalałe oczy nędzy; zewsząd rąk brudnych i kalekich tysiące wyciągają się chciwie po jałmużnę marną; zewsząd dobiegają odgłosy rozpaczliwych płaczów, i skarg, i złorzeczeń — oto piękno życia burżuazji. W chaosie konwulsji martwych prawie od głodu ciał, w czarnym wichrze rzezi bezlitosnych, w ogniu i dymie pożarów i zgliszcz, — wije się opętańczo, zniszczony rozpustą i chorobami, cynik, parodja człowieka o bezsilnych muskułach i zmiękczonych kościach i wyblakłych oczach na żółtej twarzy, trawiony szaloną, przedśmiertną żądzą najwyrafinowańszych rozkoszy, kroczy od miasta do miasta, jak maruder na pobojowisku, jak złodziej na cmentarzu i głosi dumnie:

— Służę pięknu!

I pada w zachwycie na kolana, niby przed świętością boską, przed kupą barwnych drobnostek bezwartościowych, kryje się przed otaczającą go obmierzłością za stosy bezrozumnych nędznych bawidełek — obrazeczki, zabaweczki, figurki, ładnie oprawne książeczki — skąpe i marne owoce pracy skarłowaciałych dusz. A wszystkie te drobnostki fabrykowane naprędce i tandetnie — wobec coraz bardziej wzmagającego się na nie zapotrzebowania — zapełniają pokoje i dusze, oślepiając wzrok jajeczną pstrokacizną kolorów, ogłuszając słuch dźwiękiem pustych frazesów, przyjemnie drażniąc tępe nerwy swą pikantną ciętością. I te ciężkie stosy przytłaczają i zasłaniają sobą postacie wielkich twórców wiecznego piękna. Milkną święte hymny poetów przeszłości, mgła zapomnienia przykrywa ich imiona, głuchną cudne pieśni, zakrzyczane jarmarcznym zgiełkiem „kapłanów nowego piękna“ — tych najpokorniejszych fagasów mieszczaństwa.

(D. c. n.)

E C H A.

CHŁOPI POLSCY W ZŁOTEJ PRADZE.

Wystawa jubileuszowa czeska zaczyna u nas interesować coraz szersze warstwy. Jadą na nią przemysłowcy, lekarze, przyrodnicy, jadą i chłopi. Tak — chłopi wstąpią na ziemię czeską wcale pokaźną gromadą, jedzie ich tam blisko setka, zamierzają bawić 10 dni i zwiedzą nietylko wystawę, Pragę i jej społeczne instytucje, ale obejrzą „gospodarskie porządki“ we wzorowo zagospodarowanych wsiach w Czechach i na Morawach.

Wycieczka będzie zbiorową, koszt jej wynosi około 40 rs. na jednego uczestnika. Jestto suma zarazem mała i duża. Dla chłopa naszego przeważnie biednego, jestto wydatek bardzo poważny, to też zdziwić może niejednego czytelnika z inteligencji, że chłop nasz w danym wypadku tych 40 rs. nie żałuje. Ale bo wiedzieć trzeba czem dla naszego chłopa są Czechy. Wiedzieć trzeba, że od całego szeregu lat pismo ludowe "Zorza“ zmienione obecnie w „Zaranie“ stawiało swym czytelnikom czeski lud jako wzór godny naśladowania, jako lud dzielny, przedsiębiorczy, pracowity i umiejący stwarzać w zjednoczeniu potężne instytucje na samopomocy oparte, a będące dźwignią drobnych rolników. Ci chłopi, którzy jadą teraz do Czech to kwiat naszej tężyzny chłopskiej, to ci uświadomieni i uspołecznieni wieśniacy, którzy rozumieją kształcące znaczenie takiej wycieczki. Jadą oni tam nie po wrażenia, nie dla zaspokojenia ciekawości, ale po to, aby zobaczyć zblizka, jak czeska gromada wiejska radzi sobie w życiu codziennem, społecznem i politycznem. Jadą obejrzyć na własne oczy one kasy czeskie, maślarnie, śpichrze, spółki hodowlane, meljoracyjne szkoły wiejskie, domy ludowe, które ma każda wieś czeska a do osiągnięcia których dążyć zaczyna z całym rozmachem żywiołowym i chłop polski. Najlepszym dowodem, że chłop nasz zaczyna targać okowy od wieków noszone i wyzwalać się poczyna z ciemnoty i bierności jest ta zbiorowa wycieczka do pobratymców. Dzień wyruszenia został naznaczony na 9 czerwca. Dla wielu punktem zbornym będzie Kraków. Nie braknie więc na wystawie czeskiej i polskich chłopów. Oczy ich chciwie będą oglądały, głowy będą pracowały a po powrocie na gadaniu się nie skończy, bo chłop, to właśnie ten, „który umie chcieć“ i rozumie doskonale, że jeno czyn prowadzi do zmartwychwstania i wyzwolenia.

St. Poraj.

ROBOTNICZY RUCH ZAWODOWY W ROKU 1907.

Poczucie konieczności organizowania się w związki zawodowe przenika coraz głębiej w sferę robotniczą — temi słowy zaczyna urzędówka ministerjum skarbu „Torg. Promysz. Gaz.“ artykuł o „ruchu zawodowym robotniczym w panstwach zagranicznych w r. 1907.“

Świadczy o tem z jednej strony powszechne zwiększanie się ilości członków organizacji już istniejących i tworzenie nowych, a z drugiej strony gotowosci, z jaką robotnicy zgadzają się na podwyższenie składek członkowskich. Cechą charakterystyczną całego ruchu zawodowego jest dążenie do centralizacji, do zrzeszania związków pojedyńczych w wielkie organizacje rozpościerające swą działalność nie tylko na cały obszar danego kraju, lecz dążące do międzynarodowego łączenia organizacji robotniczych całego świata,

Ta cecha ruchu robotniczego jaskrawo uwydatniła się w r. 1907.

Drugą cechą charakterystyczną ruchu robotniczego w r. 1907 było to, iż rozwój związków w krajach z młodym przemysłem i młodym ruchem robotniczym był silniejszy niż w krajach, gdzie ruch zawodowy zmężniał.

W Niemczech, naprz. w r. 1907 ilość członków związków zawodowych socjalno-demokratycznych wzrosło tylko o 150,000 osób, podczas gdy w r. 1905 wzrosło o 316 tysięcy, a w r. 1906 o 370,000.

Robotniczy ruch zawodowy w r. 1907 w cyfrach wygląda jak następuje:

Niemcy	2,215,165	robotników.
Anglja	2,106,283	—
Stany Zjedn.	1,970,000	—
Francja	896,012	—
Włochy	642,046	—
Austrja	448,270	—
Rosja	246,272	—
Szwecja	200,924	—
Hiszpanja	171,791	—
Belgja	158,116	—
Węgry	153,332	—
Holandja	128,845	—
Australja	107,000	—
Danja	99,052	—
Szwajcarja	59,200	—
Nowa Zelandja	29,869	—
Norwegja	25,339	—
Finlandja	22,284	—
Serbja	5,350	—
Bulgarja	5,000	—

Odsetek kobiet nigdzie nie jest znaczny: największy jest (o, dziwo!) w Serbji, wynosi bowiem 10%. W Niemczech kobiet zorganizowanych jest 6%; w Anglji 7%; we Francji 8,8%; w Austrji 9,4%; w Szwecji 6,7%; w Belgji Węgrzech, Holandji i Norwegji 3%, a tylko w Francji 10%.

Robotnicy rolni, jak to zaznaczaliśmy już w numerze 22, najlepiej są zorganizowani we Włoszech (279,513 robotników zorganizowanych w rolnictwie); dalej idą Węgry (24,000) i Hiszpanja (22,744); Szwecja (7,847); Austrja (2,652) i Danja (1,072).

Absolutnie ilość robotników zorganizowanych największa jest w Niemczech, stosunkowo jednak najlepiej zorganizowani są robotnicy duńscy. (Według urzędowych danych statystycznych na 206,592 robotników zatrudnionych w przemyśle duńskim, ilość zorganizowanych wynosiła 99,052 czyli 47,93%.

W innych krajach stosunek procentowy robotników zorganizowanych do ogółu robotniczego jest następujący: w Szwecji 38,77%; w Anglji 33,97%; na Węgrzech 28,56%; w Holandji 26,79%; w Norwegji 6,54%.

W Austrji dorosłych robotników zatrudnionych w przemyśle jest 2,226,601; ilość zorganizowanych wynosi 20,13%. W Niemczech ilość robotników wynosi 8 miljonów; ilość zorganizowanych zaś koło 25%.

Związki zawodowe ujawniają skłonność do rozszerzania sfery działalności; wprowadzono nowe rodzaje zapomóg, ulepszono już istniejące, dokładnie badano sprawę zapomóg dla chorych i bezrobotnych. Baczną uwagą zwrócono na działalność oświatową i zakładano kursy wieczorne, szkoły, biblioteki.

Ta wielostronna działalność związków wymaga, rzecz prosta, znacznych ofiar pieniężnych.

Jakże wyglądają budżety związków zawodowych?

Najpoważniej się przedstawia budżet trade-unionów angielskich, dane ściśle „Torg. Promysz. Gaz." posiada tylko co do 60% ogólnej liczby trade-unionów; suma dochodów ich wynosi 23,9 miljonów rubli, a wydatki 19,9 miljonów. Kapitał żelazny tych związków wynosi 53 miljony rubli.

W Niemczech 96% związków zawodowych rozporządza prawie takim samym budżetem z tą tylko różnicą, że kapitał żelazny wynosi 15,7 miljonów rubli.

Najwięcej wydają związki zawodowe na zapomogi, prym trzyma tu Anglja, gdzie suma wydanych zapomóg związkowcom wynosi 13 miljonów rubli, podczas gdy w Niemczech 5 miljonów rubli, a w Stanach Zjednoczonych 4 miljony.

Pod względem pomocy dla bezrobotnych pierwsze miejsce zajmuje Danja.

Największe wydatki na strajki i lokauty ponoszą Niemcy (koło 8 miljonów).

KRONIKA.

Z ŻYCIA ZAWODOWEGO.

II Zjazd delegatów Związku zawodowego robotników cukrowni Królestwa Polskiego odbył się w Warszawie dnia 30 i 31 maja przy udziale 65 delegatów z 30 cukrowni. Porządek dzienny obejmował następujące punkty: sprawozdanie z działalności związku, sprawozdanie kasowe, sprawozdanie i wnioski komisji rewizyjnej, rezultaty ankiety, plan działalności Związku w najbliższym czasie, walka z pijaństwem, wybór członków zarządu i komisji rewizyjnej, wolne wnioski. Z sprawozdań za czas od 1 września 1907 r. do maja r. b. wynika, iż Związek liczy obecnie 40 oddziałów (w okresie sprawozdawczym przybyło 2) ilość członków wzrosła z 3086 na 3662, zapomóg wypłacono 774 rb. 90 kop. 76 członkom. Zarząd oprócz działalności administracyjno-organizacyjnej zajmował się udzielaniem porad prawnych i lekarskich, pośrednictwem w wyszukiwaniu pracy, akcją oświatową, regulowaniem życia zawodowego, rozpatrywaniem i załatwianiem wszelkiego rodzaju zatargów, w których interesy robotnicze na szwank były narażone. W tym ostatnim kierunku zarząd występował w imieniu członków w 21 cukrowniach i naogół pomyślne osiągnął rezultaty. Dochody Związku wynosiły 12338 rb. 48 kop., wydatki 6216 rb. 3 kop. Na organizację i akcję oświatową wydano więcej niż dopuszczał regulamin, komisja rewizyjna wystąpiła więc z wnioskiem, aby ze względu na młodość Związku i wynikające stąd większe potrzeby organizacyjne zwiększono fundusz organizacyjno-oświatowy o 10%. Zjazd wniosek ten uchwalił, jak i inne wnioski komisji dotyczące udzielenia absolutorjum ustępującemu zarządowi i polecenia oddziałom, by w przyszłości regularnie nadsyłały sprawozdania.

W myśl uchwały I Zjazdu zarząd opracował kwestjonarjusz ankiety, mającej dostarczyć danych co do warunków pracy i bytu robotników w cukrowniach i rozesłał go do wszystkich cukrowni. Otrzymano odpowiedzi z 39 cukrowni. Wyniki ankiety będą szczegółowo opracowane i ogłoszone drukiem w formie broszury. Na ogół rezultaty jej dają ujemny obraz ekonomicznych, hygjenicznych i kulturalnych warunków bytu robotniczego.

Związek w działalności swej stał na stanowisku obronnem, co dało rezultaty dodatnie, zdołano bowiem zachować dla robotników w cukrowniach wszystkie niemal zdobycze lat ubiegłych, a w kilku wypadkach nawet je rozszerzyć. Zjazd uznając stanowisko obronne Związku nadal za konieczne uchwalił, by delegacje miejscowe wszystkie swe projekty, tyczące poprawy bytu oddawały do rozpatrzenia Zarządowi i bez porozumienia z nim nowych żądań nie stawiały. W sprawie skrócenia dnia roboczego przyjął Zjazd rezolucję postanawiającą, by na razie dążono do zaprowadzenia 9-cio godzinnego dnia roboczego w czasie remontu (t. j. pokampanji), w czasie zaś kampanji, tam gdzie to jest koniecznem, praca nadal może być i 12-to godzinna z tym jednak warunkiem, że godziny nadprogramowe (t. j. ponad 9) mają być płatne podwójnie. W cukrowniach, gdzie jest już zaprowadzony 8-godzinny dzień roboczy, ma być on oczywiście zachowany i nadal. W kwestji deputatów (wynagrodzeń w naturze) Zjazd

polecił zarządowi poczynić starania o zrównanie ich i zastąpienie, tam gdzie to będzie możliwem i korzystnem, wynagrodzeniem pieniężnem. Zjazd polecił również zarządowi zająć się uregulowaniem kwestji mieszkaniowej. Co do robót nadprogramowych, uchwałona przez Zjazd rezolucja potępia je w zasadzie, dopuszcza zaś tylko w razie nagłej potrzeby podczas kampaji z tym warunkiem, że praca po za godzinami normalnemi ma być opłacana podwójnie. System robót akordowych uznany został również za szkodliwy i dopuszczalny jeszcze w razie nieodzownej konieczności, w tym wypadku praca akordowa nie powinna przewyższać 9 godzin tak w czasie kampanji jak i podczas remontu. Ze względu na to, iż praca w cukrowniach jest sezonowa, Zjazd przyszedł do przekonania, iż nie może popierać dążeń pracowników, by zostać robotnikiem stałym, natomiast polecił zarządowi zająć się uregulowaniem płacy robotników sezonowych.

W sprawie walki z pijaństwem Zjazd uchwalił rezolucję wzywającą członków Związku, by przeciwdziałali szerzeniu się pijaństwa w szeregach robotniczych nie za pomocą oderwanej od życia propagandy, lecz starając się o usunięcie tych warunków, które alkoholizm wywołują. Co do wysokości składek Zjazd oświadczył się za utrzymaniem tej samej normy. W końcu dokonano wyborów 7 członków zarządu, 3 zastępców i 3 członków komisji rewizyjnej oraz ich zastępców. Obszerne sprawozdanie z II Zjazdu wyjdzie niebawem i rozesłane będzie członkom Związku.

wh.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller*. Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.